

**Andrzej Romanowski**

Uniwersytet Jagielloński

## Łącznik

### Abstract

#### Link

The article focuses in a synthetic way on the profile of Professor Henryk Markiewicz, presenting his ideas and intellectual way of development. The author presents Professor Markiewicz not only as an outstanding historian and theoretician, but also an irreplaceable inspirer and organiser of many editorial ventures of encyclopaedic and dictionary nature, such as *The image of Polish Literature of the 19<sup>th</sup> and 20<sup>th</sup> century* or *Polish Bibliographic Dictionary*. From the memories emerges a profile of a great scientist and at the same time a noble and righteous man: a guardian of Polish tradition, Polish cultural heritage, scientific reliability and intellectual honesty.

**Słowa kluczowe:** Markiewicz Henryk, polonistyka, Kraków, historia literatury polskiej, teoria literatury

**Keywords:** Markiewicz Henryk, Polish philology, Krakow, history of Polish literature, literary theory

Powinien nazywać się Herman Reiner. „Markiewicz” było panieńskim nazwiskiem babki, a ojciec, Adolf, nosił je, bo rodzice nie mieli ślubu państwowego. Imię „Henryk” wymyśliła zaś w roku 1937 redakcja „Kuriera Literacko-Naukowego”, rozwiązując w ten sposób inicjał „H” w nadesłanym rękopisie. Jednak *Dzienniki zesłańca i żołnierza* Zygmunta Blumenfelda świadczą, że (przynajmniej w roku 1939) imię „Herman” również w rodzinie zdrabniano na „Heniu”.

Wywodził się z krakowskiej rodziny kupieckiej. Matka, Debora Horowitz, pochodziła wprawdzie z Nowej Wsi, ale już w jej młodości osada ta weszła w skład Krakowa. Poza latami drugiej wojny światowej Henryk Markiewicz całe życie spędził w tym mieście. Zainteresowanie nim poświadczał w kolejnych pracach: w tomie *Boy o Krakowie*, w wyborze felietonów *Lajkonik*

Zygmunta Nowakowskiego... Ale Kraków jego młodości dziś już nie istnieje. „Rodzice – wspominał – byli w znacznym stopniu spolonizowani. W domu mówiło się tylko po polsku (przy czym – jak mogłem później ocenić – polszczyzna obojga była bardzo dobra. Nie zadawano im i oni nie zadawali sobie pytań o narodowość: gdyby pytanie takie padło, określiliby siebie zapewne jako Polaków wyznania mojżeszowego”.

## Formacja

Czytając *Życiorys polonistyczny z historią w tle*, poznajemy zestaw jego chłopięcych lektur. Była to literatura polska, a jeśli obca – to w polskich przekładach. Chleb powszedni stanowiła też historia Polski: w dzieciństwie pisał o „pracy naszych ostatnich Piastów”, ułożył też „kilka miniaturowych «obrazków dramatycznych» ilustrujących wydarzenia historyczne, na przykład chrzest Mieszka I”. „Nie mógłbym – puentował po latach – za Marianem Hemarem powtórzyć, że jestem «Polakiem z wyboru»; jestem Polakiem z determinacji kulturowej. Mówiąc jaśniej: moją tożsamość narodową zdeterminowała macierzysta kultura, którą jest kultura polska”.

Doprecyzujmy: była to kultura Polski międzywojennej, zwłaszcza ta o obliczu liberalnym i laickim. Dla Polaka o żydowskich korzeniach przystań szczególnie bezpieczną stwarzała twórczość warszawskich skamandrytów oraz krąg ich organu, „Wiadomości Literackich”, będącego w pewnej mierze – co też nie jest bez znaczenia – trybuną zasymilizowanej żydowskiej inteligencji. Zakorzenie w polskości wzmacniał jednak przede wszystkim kontakt z międzywojenną inteligencją krakowską. Ludzie ci, nawet gdy dawali upust odruchom antysemitycznym, rządili się na ogół zasadami sprawiedliwości (w nauce szkolnej) i przyzwoitości (w życiu codziennym). Oczywiście, trudno było nie widzieć „dorocznego wstydu”, o którym – w związku z początkiem roku akademickiego 1936 – pisała Maria Dąbrowska. Trudno było nie odczuwać frustracji na wieść, że w roku 1938 na krakowską polonistykę nie przyjęto żadnego wyznawcy religii mojżeszowej. Ale nie można też było nie zauważać odważnych wystąpień przeciw szerzącej się, i tak często dominującej, nienawiści. To one – wspominał Markiewicz u schyłku życia – „zapisaly się w mojej młodocianej pamięci, dodawały mi wtedy otuchy i nadziei”.

Pożeracz książek i bywalec teatru – „cudowne dziecko”, rozpoczynające karierę publicystyczną w wieku 13 lat – był w momencie wybuchu wojny osobowością już w zasadzie ukształtowaną. Ale uchodząc przed Niemcami, chroniąc się na wschodzie, dodawał do tego ukształtowania coś jeszcze bardziej istotnego: „polski los”. W końcu to przecież wierność Polsce podyktowała rodzinie Markiewiczów odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego, to zaś pociągnęło za sobą zesłanie za Ural. W przypadku Henryka „polski los” nie dopełnił się wprawdzie walką o Polskę (do armii Andersa go nie przyjęto), stał się jednak udziałem człowieka mu najbliższego: kuzyna Zygmunta.

Tyle że paradygmat owego „losu” uległ w czasie drugiej wojny światowej komplikacji. Łączyło to „kupca” Markiewicza z (powiedzmy to tytułem przykładu) młodszym o pół roku „ziemianinem”, Wojciechem Jaruzelskim. Wszak u obu tych młodych ludzi z „dobrych domów” II RP pojawiła się wtedy sympatia dla Sowietów – mocarstwa gromiącego najeżdżąc niemieckiego – oraz wiara w nowy ustrój – „sprawiedliwości społecznej” – ustrój mający raz na zawsze zlikwidować przeżytki antysemityzmu i zmorę dworskich czworaków. Po powrocie w roku 1946 do Krakowa Markiewicz dołączył więc do tych, którzy z partijną legitymacją w kieszeni wspierali piórem (a często nie tylko piórem) nową rzeczywistość.

Ale, wbrew rozpowszechnianej dziś mitologii, między takimi ludźmi a rzeszą ówczesnego społeczeństwa – konserwatywnego i katolickiego, a przy tym wyniszczonego przez wojnę – nie było nieprzekraczalnych barier. Sanacyjny wicepremier, Eugeniusz Kwiatkowski, wzywał, by w nowe, подарowane nam państwo „wgryźć się tak mocno, tak zwarcie, tak solidarnie, by żadna moc ludzka bezkarnie nie mogła ani nas wyprzeć z nowych siedzib, ani nami zawładnąć”. Historyk Tadeusz Manteuffel oświadczał Aleksandrowi Gieysztorowi, zamierzającemu kontynuować pracę konspiracyjną: „Teraz nie będziemy robić partyzantki, tylko Uniwersytet”. W kwestiach fundamentalnych, w stosunku do Polski w nowym kształcie ustrojowym i terytorialnym, nie było więc barier, a często i różnic, między takimi nawet krakowianami, jak marksista Markiewicz i starszy o 10 lat katolik Jerzy Turowicz. Nie było różnic nawet w stosunku do dziedzictwa antysemityzmu, choć sprawę tę Markiewicz musiał odczuwać bardziej osobiście, a więc i boleśniej. Różnice pojawiały się w odmiennej motywacji politycznej oraz światopoglądowej – i naturalnie nie były bagatelne.

Ale one też nie były nieprzekraczalne. W Krakowie – jak mawiał przed wojną Józef Piłsudski – „było zawsze najłatwiej o współpracę ludzi i stronnictw”. Teraz, w murach Uniwersytetu Jagiellońskiego, w pomieszczeniach Studium Słowiańskiego przy ul. Gołębiej 20, badania naukowe prowadzili ludzie różnych zapatrywań, mający jednak po doświadczeniach wojny zarówno świadomość zagrożeń, jak i poczucie miary. Markiewicz przez całe życie wspominał rolę, jaką w jego życiu odegrał Stanisław Pigoń – człowiek o zupełnie innych niż on korzeniach, oddzielony od niego barierą poglądów najdalszych. Przyjęta przed wojną formacja liberalnej inteligencji stanowiła teraz „drugie dno” postawy Markiewicza i ułatwiała kontakt z tymi ludźmi, równocześnie zaś – utrudniała bezkrytyczne przyjmowanie dyrektyw socrealizmu. Nie było przypadkiem, że w redagowanym przez siebie (potem współredagowanym) „Życiu Literackim” uprawiał Markiewicz coś, co Jerzy Putrament nazwał „przemysłownictwem ideologicznym”.

Czy to dewiza Talleyranda *pas trop de zèle*, czy raczej chłonność intelektualna chroniła go przed stalinowskim fanatyzmem, skłaniała do poszukiwań „okruchów dobra”? Jako wschodząca gwiazda literaturoznawstwa marksistowskiego cieszył się Markiewicz niewątpliwym zaufaniem Partii, zarazem

jednak miał „pokorę, by żadnego nie kląć ruchu”. Zaangażowany politycznie po stronie władzy, jednał sobie życzliwość krakowskiej profesury i szybko zaczął być przez nią traktowany jako *swój*. Gdy więc po przełomie październikowym 1956 roku przyszło mu płacić za ideologiczną postawę, gdy pojawiły się różne krytyki i ataki, w „Tygodniku Powszechnym” wzięła go w obronę wielka uczona i żarliwa katoliczka – prof. Maria Dłuska.

## Adaptacja

Wydaje się, że do stałego powiększania swej wiedzy i pisarskiego dorobku pchała Markiewicza nie tylko wewnętrzna potrzeba, nie tylko wrodzona pracowitość, ale też świadomość korzeni – odmiennych niż w wielopokoleniowych rodach krakowskiej inteligencji. I może, przy wszelkich różnicach z Pigoniem, ta właśnie świadomość – przybywania z *zewnątrz* – mogła ich obu łączyć. Czyżby więc chodziło o to, by pokazać, że nie jest się gorszym? Skutki były takie, że stawało się – na swoim terenie – *lepszym*, a nawet *najlepszym*. Bo w humanistycznym środowisku Krakowa (i Polski) Markiewicz zyskał sobie szybko autorytet niezwykły, pod wielu względami z nikim nieporównywalny. Dziś wiemy, jak ten zamknięty już dorobek jest olbrzymi, i wiemy też, że w swej wielkości jest on wręcz niemożliwy do ogarnięcia – wszak do jego przedstawienia potrzebne byłoby łączenie różnych kompetencji, nawet różnych dyscyplin.

Oczywiście, istnieją tu ograniczenia. Markiewicz nie był Julianem Krzyżanowskim – nie panował nad całością polskiej literatury. Ale w jego generacji nikt już nad tą całością nie panował, a i Krzyżanowskiego krytykowano za niezrozumienie nie tylko literatury dwudziestolecia międzywojennego, lecz nawet Młodej Polski. Nie był też Markiewicz Marią Janion – nie stworzył własnej szkoły, nie miał rzeszy akolitów i wyznawców. Zapewne niejedno takie zastrzeżenie zawężające można jeszcze wymienić, ale zawsze można wtedy tym ostrzej zobaczyć intelektualną uczciwość, sumiennność i rzetelność. Markiewicz bowiem wybrał misję służebną: ów – jak sam mawiał – eklektyzm, w którym dzieło literackie ogląda się według rozmaitych, często sprzecznych dyrektyw, jak piękną górę, którą się opisuje z różnych punktów widzenia.

Był łącznikiem nie tylko między tradycją a polityczną rzeczywistością. Jako teoretyk literatury (nie było przed nim w Polsce nikogo tej miary) uprawiał nieustannie swe „przemysłownictwo ideologiczne”, przerzucał bowiem mosty między myślą polską a europejską i amerykańską: myślą zachodnią, ale i wschodnią, rosyjską, niekoniecznie jednak prawowierczą, sowiecką. W uprawianej historii literatury wykorzystywał nawet w czasach stalinowskich stan badań nauki „burżuazyjnej”, by dopiero na tym gruncie dokonywać nowych ustaleń: w zakresie pozytywizmu, Młodej Polski, twórczości Prusa i Żeromskiego. Jednorazowe wycieczki czynił w stronę romantyzmu, częstsze

– w stronę dwudziestolecia, zwłaszcza w stronę Boya i Irzykowskiego. Wydał pisma Boya i Reymonta, stworzył fundamentalne antologie: *Problemy teorii literatury, Sztuka interpretacji, Teoria badań literackich w Polsce, Współczesna teoria badań literackich za granicą...* Dołączała się do tego jego działalność krytycznoliteracka, uprawiana zwłaszcza w młodych latach. Łącząc sprzeczne żywioły, był więc zarazem gospodarzem polskiej literatury, jednym z tych, którzy – jak Pigoń czy Kazimierz Wyka – zachowali po wojnie jej ciągłość. Marksizm był mu przydatny zarówno jako nowa, fascynująca metodologia, jak i barwa ochronna. Czy trzeba się gorszyć, że był dla niego czymś więcej niż tylko ideologicznym zaklęciem?

Na dwie realizacje tej postawy warto zwrócić uwagę. *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku* był 15-tomowym dziełem wielu autorów, jednak przy wszelkich zmianach składu redakcji kolejnych serii oraz Redakcji Naczelnej trwał w tym dziele przez cały okres 1965–1994 jeden tylko człowiek: Henryk Markiewicz. I jego redaktorski pazur widać tu na każdym niemal polu. Obiektywny ton zarysów monograficznych, reprezentatywny przegląd wypisów z twórczości pisarzy – wszystko to będziemy mogli docenić, gdy przypomniemy sobie, ilu polskim pisarzom przypięto w początkach PRL łatkę „reakcyjności”. *Obraz literatury...* przywracał właściwe proporcje – zakłócone przez upływ czasu, ale i... przez komunizm. To dzieło było wyrazem pietyzmu dla całości półtora wieku polskiego piśmiennictwa – pietyzmu na tę skalę nieznanego wcześniej i niepowtórnego potem. Czy takie było oblicze PRL, czy raczej – samego Markiewicza?

Podobny pietyzm – wobec całej już, tysiącletniej polskiej przeszłości – charakteryzował *Polski Słownik Biograficzny*. Dzieło to powstało wcześniej niż *Obraz...*, bo w II RP, ale wznowione po wojnie, zostało niebawem zawieszane. Reaktywowane na fali odwilży popaździernikowej, znajdowało się pod czujną obserwacją władz. Do Komitetu Redakcyjnego *Słownika* wszedł Markiewicz w roku 1960, być może z partyjnego nadania. I stał się jednym z tych, którzy dokonali jego adaptacji do nowej rzeczywistości. Rzecz jednak w tym, że ani on, ani kolejni redaktorzy naczelni – Kazimierz Lepszy, a zwłaszcza już Emanuel Rostworowski – niczego nie uronili z dziedzictwa przedwojennego, wprost przeciwnie: dziedzictwo to rozszerzyli, pogłębili, udoskonaili. W roku 1990, po przedwczesnej śmierci Rostworowskiego, redakcję naczelną PSB objął sam Markiewicz i sprawował ją przez następne 12 lat, wolny już od ograniczeń cenzuralnych. Toteż dane mu było doprowadzić PSB do nieznanego wcześniej rozkwitu. Nie bez przyczyny mawiał, że ze wszystkich sprawowanych funkcji kierowanie *Słownikiem* ceni sobie najwyżej.

*Obraz literatury polskiej...* i *Polski Słownik Biograficzny*. Nie były to autorskie przedsięwzięcia Henryka Markiewicza, ukazywały jednak, lepiej niż cokolwiek, jego rolę jako organizatora polskiej humanistyki. I jako jej strażnika.

## Strażnik

Był bowiem Markiewicz strażnikiem polskiej tradycji, polskiego dziedzictwa kulturowego. Liberalna formacja międzywojenna pozwoliła mu przenosić tę tradycję i to dziedzictwo w czas komunistycznego autorytaryzmu, a zawierane kompromisy umożliwiały poczucie ciągłości – bardziej niż gdziekolwiek rozumiałe w „stańczykowskim” Krakowie. Bo przecież równocześnie podawał Markiewicz rękę ludziom „solidarnościowej” opozycji: czy to wchodząc do rady redakcyjnej „drugoobiegowego” Wydawnictwa ABC, czy to współredagując krakowskie „Pismo”. I troszczył się o *całość* również literatury współczesnej – nieprzypadkowo wydawał nieprzejednanego emigranta: Nowakowskiego.

Ale był też strażnikiem tradycji polonistycznej. Przez całe życie strzegł ścisłości, rzetelności i solidności polonistycznego warsztatu. Nie miał wątpliwości, że TEKST jest zawsze najważniejszy, a w każdym razie ważniejszy od najefektowniejszej nawet interpretacji. Wierzył w obiektywizm nauki, choć nie była to wiara naiwna, odrzucająca uznanie oczywistych czynników ograniczających. Opowiadał się za „sumiennością w obliczu źródeł”, ukazywał sens drogi, na której staramy się coś zważyć, zmierzyć, ustalić, wytłumaczyć. Otwarty na odmienność nawet w czasach stalinowskich, był w latach późniejszych całkowicie już wolny od ideologicznych uprzedzeń, toteż cieszył się zaufaniem także tych, którzy metodologicznie czy politycznie stanowili jego przeciwieństwo. Jakby spłacał dług zaciągnięty niegdyś u Pigionia.

Czy w swych niezliczonych polemikach, filipikach i recenzjach – publicznych oraz wewnętrznych – w swej ogłaszanej latami *Camera obscura*, miał zawsze rację? Pewnie nie. Gdy – jakże rzadko! – jednak się pomylił, natychmiast przeproszał, przyznawał się do błędu. Gdy zaś zdecydował się na atak, nie można mu już było odmówić znajomości rzeczy. Wgryzł się w *Traktat moralny* Czesława Miłosza, by stwierdzić, że tytu spraw nie rozumie. Przeczytał wszystko, co młodzi koledzy napisali o największej powieści Prusa, by zapytywać, „co się stało z Lalką”. Przykłady naukowej niefrasobliwości układały mu się w całość obejmującą i – wstrząsającą. Patrzyło się z czcią i podziwem na tego osiemdziesięcio- i dziewięćdziesięcioletniego starca upominającego się – w zupełnej czasem samotności – o stałość oraz ciągłość i narażającego się – nie na ataki wprawdzie, ale na zakłopotanie, zażenowane milczenie, wzruszenie ramion, przymrużenie oka. Tymczasem tak jak w czas PRL-u przenosił tradycję literacką międzywojnia, tak i w czas wolnej Polski – tak często bezkrytycznie przyjmującej kolejne mody – wnosił Henryk Markiewicz poczucie pewności i zakorzenienia.

Czuł brzemień przeżytego czasu, choć nie bił się w piersi za swe komunistyczne zaangażowanie, nie przeprowadzał samokrytyk, nie „odcinał się” i nie potępiał. I chwala Bogu. Bo dziś pewnie trudno nawet zrozumieć, że dla powojennej krakowskiej polonistyki stał się błogosławieństwem. Łącząc – mniej czy bardziej formalną – lojalność wobec kilku dziesiątek lat ustrojowych

pryncypiów z uczciwością badawczą nieznającą kompromisów, powodował, że nawet w najgorszych czasach naukowa hochsztaplerka u jego boku była niemożliwa, sama zaś jego obecność wśród profesorów o przedwojennym rodowodzie działała – w obie strony – tonująco i umożliwiała to, co zawsze było zadaniem naszego fachu: spokojne uprawianie nauki, wolnej od ideologicznych serwitutów. Jego powaga w stosunku do zawodu, jego obezwładniająca erudycja, były czymś w rodzaju kotwicy – barierą, za którą jakże często czaiło się już coś całkiem innego, bo naukowe szaleństwo.

Był Mistrzem, co znaczyło również: Instancją Ostateczną. Był Mędrcom, rozstrzygającym naukowe, a także moralne, problemy. Wielu z nas się zmieniło – on pozostał sobą: do ostatnich dni, gdy w „Gazecie Wyborczej” opublikował kolejny odcinek swych, dopiero co rozpoczętych, *Wycinanek*. Bo też z otaczającym światem pozostał do końca na bieżąco – jakby przez 78 lat aktywności twórczej wyznawał dewizę *nulla dies sine linea*. Herman Reiner – Henryk Markiewicz: strażnik polskiej prawdy, sprawiedliwości i przyzwoitości.